

Gazeta Giebułtowska

Nr 47

Dwumiesięcznik Sympatyków Giebułtowa

Cena 4,10 zł

styczeń / luty 2020

ISSN 2299-1824



Panorama Gór Izerskich z okolic pałacu

W numerze m.in.

**Spotkanie opłatkowe i Orszak Trzech Króli
Historia giebułtowskiej "fabryczki zabawek"
Projekt Euroregionu "Nysa" w Giebułtowie
Szkoly dawnego Giebułtowa - uzupełnienie**

Od Redakcji

Drodzy Czytelnicy,

mamy nadzieję, że przeczytacie ten numer z zainteresowaniem. Najbardziej ucieszą się zapewne ci z Was, którzy lubią artykuły opisujące historię naszej miejscowości. Tak się składa, że ten numer obfituje w ciekawostki związane z historycznymi obiektami Giebułtowa, znanymi i nieznanymi. Niektórzy pytają o źródła tych informacji. Chcemy wyjaśnić, że nigdzie nie ma gotowych informacji na wyciągnięcie ręki. Trzeba je zbierać, rozproszone po bibliotekach, archiwach, internecie. Czasem na mapach i pocztówkach. Ukryte w przedmiotach i pamiątkach. We wspomnieniach najstarszych mieszkańców, także tych byłych. Czasem niektóre materiały wpadają w ręce zupełnie przypadkowo. Ostatnio tak było z opracowaniem F.G.Zürna, pastora, który drobiazgowo opisał historię parafii Giebułtów do roku 1854, kiedy to świętowano jej 200-letnią rocznicę. Do tego niezwykle cennego historycznie materiału jeszcze będziemy wracać. Nieraz jakaś zagadka wydaje się nie do rozwiązania, a wystarczy jedno słowo lub zdanie znalezione w innym źródle, żeby wszystko się wyjaśniło. Kiedyś np. pisaliśmy o restauracji o nazwie „Buschkretscham”. Z opisu wynikało, że już dawno nie istnieje. Dopiero po czasie znaleziona notatka byłego mieszkańca z lat 80-tych ubiegłego wieku ze słowami „teraz dom mieszkalny” uzmysłowiła, że owszem restauracja przestała istnieć w 1915 r., ale budynek nadal w Giebułtowie jest. Napiszemy o tym innym razem. Zapraszamy Was zatem do współpracy. Piszcie, mówcie i informujcie nas o swoich odkryciach. Nasza miejscowość nie była przed wojną zwykłą wsią. Była ważnym ośrodkiem przemysłowym i handlowym z siedzibą znamienitego rodu Uechtritzów. Samo to, że na przestrzeni wieków powstało w niej sześć budynków szkolnych, mówi za siebie. Dziś drżymy nieustannie o utrzymanie jednego...

W naszej miejscowości wbrew opinii niektórych bardzo dużo się dzieje. Wystarczy tylko włączyć się w akcję. Pola do popisu nie brakuje – trzeba tylko chcieć. Ani porządków, ani imprez, ani promocji nikt za nas nie zorganizuje, jeśli my sami o to nie zadamy. Żaden urząd i żadna instytucja. Jeśli chcemy miesz-

kać w ładnej, zadbanej, a dodatkowo atrakcyjnej pod względem turystycznym miejscowości zaangażujemy się. Tylko czekać, jak zaświeci słońce i pani Sołtys ogłosi wiosenne porządki... Będzie co robić! Niestety, poza naturalnymi pozimowymi śmieciami pokażą się papierki po cukierkach i batonikach oraz butelki po napojach. Ciągłe zastanawiamy się nad metodami walki z tą zmorą dzisiejszych czasów. Jeśli macie jakieś pomysły, piszcie do nas. Może skuteczniejsza edukacja na ten temat? Może częstsze akcje sprzątnia? Może konkurs na plakat o tej tematyce?

W tym numerze prezentujemy także 3., przedostatni odcinek relacji z podróży do Afryki, gdzie s. Monika z Mirska elżbietanka, pracuje jako misjonarka. Jej rodzice, autorzy relacji, obiecują tymczasem stałą współpracę z "GG". Miłej lektury!

Krzyżówka

Krzyżówka nie zmieściła się w tym numerze - przepraszamy. Zwycięzczynią ostatniej została zaś nasza wierna Czytelniczka z Mirska pani **Barbara Przybylska**. Serdecznie gratulujemy i dziękujemy za udział. Szczególne podziękowania kierujemy do Państwa **Elżbiety i Sławomira Andrzejak** za ufundowanie nagrody. Jest nią zestaw kosmetyków do pielęgnacji domu. Hasło krzyżówki nawiązywało do znanej piosenki „Czerwonych Gitar” i brzmiało „Stary rok miejsce da nowym dniom”.

Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy

Po raz kolejny Stowarzyszenie „O nas z nami”, którego prezesem jest pani Janina Charchuła, sołtys Sołectwa Giebułtów, zorganizowało 12 stycznia br. przy współpracy z Radą Sołecką i mieszkańcami Giebułtowa zbiórkę pieniędzy w ramach WOŚP. Impreza odbyła się w sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej w Giebułtowie. Zebrano prawie 6 000 zł. Szczegółowe podziękowania dla wszystkich uczestników, współorganizatorów, wolontariuszy w liczbie 11 osób, zespołów, artystów i ofiarodawców pani Sołtys opublikowała w „Wieściach Mirska” (styczeń 2020).

Redaktor naczelna, wydawca:
Danuta Alchimowicz (daal)
adres: Giebułtów 51, 59-630 Mirsk
e-mail: gazeta.giebutowska@gmail.com
Redaktorzy:
Joanna Radziszewska-Karoń (azz-i)
Sandra Winnik
Skład, grafika, zdjęcia: Antoni Alchimowicz
Druk: w nakładzie 205 egz.-Wydawnictwo Poligrafia „Ad Rem”, Jelenia Góra, al. Wojska Polskiego 91



Spotkanie Oplatkowe

Tradycyjnie organizowane w Święto Trzech Króli spotkanie opłatkowe mieszkańców Giebułtowa to jedyna taka okazja w roku, aby przy łamaniu opłatkiem złożyć sobie serdeczne życzenia noworoczne. Nasza wynajmowana na tę okazję sala gimnastyczna temu absolutnie nie sprzyja, bo mieszkańcy tradycyjnie tłoczą się w drzwiach i na ciasno ustawio-



fot. Magdalena Góworko

nych ławeczkach. Ciekawi jasełek przygotowanych przez dzieci-uczniów Szkoły Podstawowej w Giebułtowie pod kierunkiem Ks. Proboszcza Krzysztofa Lewickiego oraz koncertu kolęd w wykonaniu „Kwisowian” znieśli jednak cierpliwie te niekomfortowe warunki. Rada Sołecka i panie z Koła Gospodyń Wiejskich oraz mieszkanki, które włączyły się w pieczenie ciast, robiły – jak zawsze – co mogły, aby goście tego dyskomfortu tak bardzo nie czuli. A wręcz odwrotnie. Świętecznie udekorowana sala i bogato zastawione słod-



kim poczęstunkiem i napojami stoły zapraszały do pozostania. Do momentu uroczystego łamania opłatkiem zostali niestety tylko najwytrwalsi – szkoda, że nie wszyscy.

Gości powitała pani sołtys Janina Charchuła, a byli wśród nich poza mieszkańcami Giebułtowa i zespołem „Kwisowianie”: burmistrz Miasta i Gminy Mirsk Andrzej Jasiński, radni powiatu lwóweckiego: Piotr Czembrowski i Zenon Zatchiej, przewodniczący Rady Miejskiej w Mirsku Antoni Alchimowicz oraz radny Tomasz Musztafa, ks. Proboszcz Krzysz-

tof Lewicki oraz dyrektor SP Jolanta Skrocka, gospodarz tego miejsca. Do stołu zaproszono również innych szczególnych gości tego dnia: Trzech Króli, którzy przybyli właśnie ze swoim orszakiem.

Uczniowie, którzy przedstawili piękną scenę Narodzenia Pańskiego zostali nagrodzeni nie tylko gromkimi brawami, ale także słodyczami ufundowanymi przez Radę Sołecką, a wręczanymi przez Burmistrza. „Kwisowianie” zaś byli bardzo szczęśliwi, że po oficjalnym występie mogli jeszcze pograć i pośpiewać kolędy z mieszkańcami i z Księdzem Proboszczem, który dołączył do nich z gitarą. Następne takie spotkanie za rok!

(daal)



Uganda- „Perła Afryki”

Podróżujący przeszło sto lat temu po Afryce Winston Churchill, późniejszy premier Wielkiej Brytanii, nazwał Ugandę „Perłą Afryki”. Zachwycony położeniem tego kraju, przestrzenią pokrytą różnymi odmianami zieleni od równikowej dżungli po bezkresne sawanny. Do tego niezwykle kolory kwiatów, ptaków („tylko” 1006 gatunków) i najpiękniejszych na świecie motyli. Linia brzegowa największego afrykańskiego akwenu, czyli Jeziora Wiktorii z setkami wysp i wysepek i miejsce, w którym bierze początek Nil, zwany tutaj Nilem Wiktorii (na europejskich mapach-Nilem Białym). Zachodnia część kraju to Masyw Ruwenzorii, czyli Góry Księżycowe, przy granicy z Ruandą i Kongiem-Góry Wirunga, słynące z zamieszkałych tam goryli. Te wszystkie wypukłości terenu są aktywnymi lub drzemiącymi wulkanami, miejscami pokrytymi wiecznymi śniegami i lodowcami. Bajkowy krajobraz z karkołomnymi podjazdami i serpentynami przez 6 godzin naszej podróży po przekroczeniu granicy. Pierwszy raz w życiu współautorka niniejszego tekstu miała dosyć gór!

Zanim dotarliśmy do ostatniego etapu naszej podróży, czekały nas kolejne niespodzianki. Granica między Rwandą i Ugandą okazała się trudną do przebycia. Najpierw punkt sanitarny (działania zapobiegające rozprzestrzenianiu się eboli- śmiertelnej gorączki krwotocznej), w którym musieliśmy przemyć ręce jakimś płynem i wytrzeć je w brudny ręcznik. Z tej drugiej części zabiegów zrezygnowaliśmy. Kolejny etap to formalności wjazdowe. Wizy, załatwiane jeszcze w Polsce przez Internet, mieliśmy odebrać w miejscowości Matukula, pojawiliśmy się w innym miejscu tj. Katunie. Dla urzędników to olbrzymi problem. Półtorej godziny oczekiwania na jakąś decyzję. Pani strażnik graniczna zadała pytanie naszej córce, jakiego jest wyznania. Po otrzymaniu odpowiedzi, że jest katoliczką, sprawy ruszyły nieco zwawiej. Okazało się, że ona też jest tego wyznania. Minęła kolejna godzina i wreszcie otrzymaliśmy wizy do paszportu. Pojawił się nawet cinkciarz handlujący walutą ugandyjską, który został przywołany przez „naszą” strażniczkę. Dodam jeszcze, że na granicy ugandyjsko-rwandyjskiej oprócz naszej czwórki była tylko para turystów. Wymiana graniczna między obywatelami w/w państw została wstrzymana po niedawnym incydencie z użyciem broni.

Pogranicznicy poróżnili się o coś i oddali do siebie kilka strzałów.

Nareszcie ruszamy. Szlaban z drewnianej tyczki trzymanej na sznurku poszedł w górę. Uff- jesteśmy w Ugandzie, która po kilkudziesięciu kilometrach przywitała nas deszczem. Afryka kojarzy się raczej z upałami, słońcem, a tu ulewa. Nasz kierowca zwolnił nieco z tego powodu. Wykorzystujemy tę chwilę, by sfilmować nawałnicę. Zbliżamy się do równika, więc takie pojawiające się co jakiś czas opady nie powinny dziwić. Po chwili przestaje padać i możemy się zatrzymać, aby zrobić zdjęcia przyrodzonym warsztatom, w których wykonuje



się sławne w Afryce Środkowej bębny. Wybór jest ogromny i wszystkie prezentują się naprawdę okazale. Można wybierać od najmniejszego do takiego, który ma ponad metr wysokości. Daniel i nasza córka postanowili zaopatrzyć się w nie w drodze powrotnej. Przydadzą się na parafii i w przedszkolu. My niestety z powodów finansowych (dopłata za nadbagaż) i logistycznych nie możemy zabrać takiego bębna ze



sobą do samolotu. Szkoda, są naprawdę piękne.

Nieco dalej zatrzymujemy się, aby coś przekąsić. Zjadamy się szaszłykami z kozich i wołowych podrobów, udkami kurczaka i grillowaną kassawą. Przydrożni sprzedawcy – często dzieci, oferują także orzeszki ziemne i napoje. Ruszamy pospiesznie w kierunku Kampali, ale z powodu opóźnienia na granicy nie mamy szansy tam dotrzeć. „Połykamy” kilometry drogi, aby jak najszybciej dojechać przed zmrokiem do jakiegoś miejsca noclegowego. Nie pamiętam nazwy miejscowości, w której nocowaliśmy. Był tam hotelik, może raczej miejsce noclegowe, dla backpackersów tj. turystów z plecakami. Przygotowano nam kolację i rozpalono ognisko, przy którym spędziliśmy chwilę na rozmowach. Zmęczeni podróżą poszliśmy szybko spać, ponieważ następnego dnia wcześnie rano wyruszaliśmy. Przed wyjazdem w trasę wyszedłem, aby zrobić kilka zdjęć i jak na zawołanie pojawiły się na drodze tuż przed hotelikiem niezwykle urodziwe ptaki – koronnik (*Balearica pavonina*), symbol Ugandy.

Ruszamy żwawo, przed nami jeszcze stolica Ugandy – Kampala, przez którą przejeżdżamy, a raczej



stosownym napisem.

Jedziemy wzdłuż Jeziora Wiktorii do Parku Narodowego Góry Elgon. Pojawiły się zarysy gór, w kierunku których zmierzamy...

tekst i zdjęcia Bogusław i Beata Nowiccy

Nowa atrakcja turystyczna w Górach Iżerskich



przebijamy przez „częściowo zorganizowany chaos ruchu ulicznego”. Docieramy do zarezerwowanego hotelu. Tutaj niespodzianka: na dziedzińcu naszego miejsca noclegowego – wesele. Goście weselni, muzyka, para młodych, samochody, którymi przyjechali goście, niczym nie różnią się od europejskich. Wiadomo – kolor skóry tylko „nieco” inny. O godzinie 22.00 impreza się skończyła! Byliśmy naprawdę zdumieni.

W sytuacjach drogowych podziwiam Daniela, który znakomicie sobie radzi, dając popis opanowania, intuicji, refleksu i doświadczenia. Dziesięć lat treningów na Czarnym Łądzie.

Po drodze przekraczamy równik... Musimy uwiecznić tutaj swoją obecność, robiąc zdjęcia w specjalnie przygotowanym do tego miejscu ze

Na Czerniawskiej Kopie (776 m n.p.m.) jesienią 2019 r. stanęła 15-metrowa wieża widokowa wykonana z drewna modrzewiowego. Wywołała spore zainteresowanie także u naszego zachodniego sąsiada. Jedna ze wzmianek pojawiła się w „Sächsische Zeitung” w wydaniu z 21.10.19 r. Jak czytamy, inwestycja ta kosztowała 125.000 Euro i została pokryta w 85 procentach ze środków unijnych z programu Polska-Saksonia, resztę sfinansowało Nadleśnictwo Świeradów.

Dotrzeć tam można m.in. drogą prowadzącą z Domu Uzdrowiskowego Ewa Medical & SPA w Czerniawie. Dość trudne strome wejście wynagrodzą piękne widoki. Dla tych Czytelników, którzy nie będą mogli przeżyć osobiście tej przygody, zaprezentujemy zdjęcia w przyszłym numerze.

(daal)

Jakiś czas temu w odcinkach publikowaliśmy historię Giebułtowa z 1927 r. autorstwa Karla Pellegriniego. To 40-stronicowe opracowanie przedstawiliśmy Czytelnikom w tłumaczeniu na język polski prawie w całości, dokonując jedynie koniecznych skrótów. Nie zawsze – przyznajemy – było dla nas jasne to, o czym piszemy. W tym sensie, że niektórych miejsc nie potrafiliśmy wskazać, nie znając np. przedwojennej numeracji budynków, zwłaszcza, że po niektórych nie ma już śladu. Uznaliśmy jednak, że mimo to prezentowane treści były ważne, bo mogły stać się punktem wyjścia do nowych poszukiwań. Z czasem przecież wiele rzeczy się wyjaśnia... I tak teraz, docierając do nowych źródeł historycznych, chcemy ponownie odnieść się do niektórych kwestii, bo nowe materiały wiele wnoszą i wyjaśniają...

W kronice K. Pellegriniego czytaliśmy np. o tym, że w dawnym Giebułtowie funkcjonowało wiele zakładów rzemieślniczych i fabryk, mniejszych i większych. I o tym, że jednym z pierwszych rzemiosł było tokarstwo. Pojawiło się ono już bowiem w roku 1427, kiedy to wraz z napływem ludności ze spalonego przez husytów Lubania rozpoczął się znaczący rozwój Giebułtowa. Z kroniki Pellegriniego wiedzieliśmy też o istnieniu firmy Opitz & Sohn i o innych firmach produkujących zabawki, produkty z drewna oraz artykuły pamiątkarskie i dekoracyjne. Dzięki starej pocztówce wiedzieliśmy, że dzisiejszy Blok nr 18 był siedzibą jednej z nich – fabryki zabawek pod nazwą Holzwarenfabrik Schwerdtner & Busse. Jak się okazuje, miała ona swoją następczynię, mianowicie firmę Opitz & Sohn. A po niej kolejną – polską Spółdzielnię Przemysłu Ludowego i Artystycznego...

Wspomnienia pana Ryszarda Skórki z pracy w owej Spółdzielni, nazywanej potocznie „fabryczką zabawek”, prezentowane na str.8-10 skłoniły nas do bardziej intensywnego zajęcia się historią tego budynku. Sporym zaskoczeniem był dla nas odkryty fakt – początkowo traktowany z dużym niedowierzaniem – że wspomniany blok funkcjonował w drugiej połowie XIX. i na początku XX. wieku jako młyn.

Początkowe wątpliwości z tym związane rozwiązała mapa topograficzna Giebułtowa, sporządzona przez dawnych, niemieckich mieszkańców. Powstała ona po wojnie, w czasach, gdy pamiętali oni jeszcze szczegółowo zabudowę Giebułtowa i potrafili ją na podstawie swoich wspomnień odtworzyć. W miejscach dużego zagęszczenia budynków nie wszędzie niestety umieszczono nazwiska właścicieli. Mapa ta została nam przed kilku laty przekazana przez pana Joachima Fiebacha (pomysłodawca i fundator „Ławki Tkacza”) i – jak się okazuje – w połączeniu z kroniką Pellegriniego jest źródłem bezcennych informacji.

Młyn mieszczący się w dzisiejszym bloku nazywany był młynem przednim (niem. Vordermühle) z prostego względu, że stał na samym wjeździe do

miejsowości od strony Mirska. W centrum, w miejscu dzisiejszego przystanku PKS, był bowiem jeszcze jeden młyn. Wiadomo, że w roku 1854 właścicielem młyna „przedniego” był Johann Gottlieb Rubel. Czy rok 1854 to jednocześnie data jego budowy – nie wiadomo. Wiadomo za to, że kolejnym właścicielem był – jak podaje kronika Pellegriniego – „niejaki Feist”. K. Pellegrini podaje, że młyn podlegał wówczas Uechtritzmom. Określali oni szczegółowo, jaki rodzaj podatków ciąży na właścicielu młyna. Były to m.in. dostawy zboża, podatek wodny, dostawy drobiu, jaj itd. Właściciel otrzymywał za to od Pałacu drewno i gałęzie do naprawy koryta potoku. Mógł liczyć co dwa lata także na drewno bukowe, potrzebne żerdzie, podściółkę do pomieszczenia z kołem młyńskim, tzw. Radstube. Jak wiadomo, wszelkie mechanizmy młyńskie były wówczas wykonywane z drewna, które się łatwo i szybko zużywało. Pałac pokrywał również koszty dostawy tego cennego w młynie budulca. Jakiego rodzaju koło młyńskie było w nim używane, nie da się obecnie stwierdzić. Na wspomnianej mapie jest za to naniesiony „Mühlgraben”, czyli młynówka, ciek wodny, którego energia wodna służyła do napędzania koła młyńskiego. Czy mieszkańcy Bloku nr 18 znajdują jeszcze jakieś ślady po dawnym młynie, czy widać ślady „młynówki”, czy miejsce pracy koła młyńskiego? Bardzo bylibyśmy tego ciekawi... Wspomnienia pana R. Skórki dodatkowo potwierdzają istnienie młyna w tym miejscu.

W roku 1912 młyn przejmuje od „niejakiego Feista” firma produkująca zabawki Schwerdtner & Busse. Ze starych pocztówek dobrze znamy ten obiekt. Nie działa ona zbyt długo, bo w roku 1927, kiedy ukazuje się kronika Pellegriniego, w dawnym młynie funkcjonuje już kolejna firma – firma rodzinna Opitz & Sohn. Produkuje ona również zabawki, „w dużych ilościach” – jak pisze Pellegrini, wysyłane także za granicę, oraz artykuły pamiątkarskie, zamawiane przez uzdrowiska. Otrzymują one artystyczny wyraz dzięki zatrudnionym artystom. Jeden z nich wypala rysunki, inny je dekoruje i artystycznie maluje. Firma zatrudnia łącznie 11 osób.

Można przypuszczać, że firma Opitz & Sohn pracowała do zakończenia wojny, a giebułtowska „fabryczka zabawek” po wojnie była jej kontynuacją. Mimo że – jak czytamy we wspomnieniach pana R. Skórki – warunki pracy nie były, delikatnie mówiąc, najłatwiejsze, drewniane zabawki z Giebułtowa szły na eksport, nawet do Kanady, ciesząc się ogromnym wzięciem. Ich atutem – jak się można domyślać – była niepowtarzalność, oryginalność i urok, który można było wydobyć w dużej mierze niezwykle precyzyjną pracą rąk. I chyba też przez wkład serca... Z radością prezentujemy zdjęcia ozdobnej szkatułki, wyprodukowanej w tej fabryce już za naszych czasów. Jej ozdobą są namalowane konwalie, które z czasem zyskały szlachetną „starą” biel, złamaną delikatnym błękitnym akcentem, na granatowym tle drewna, którego fakturę trochę widać pod lekko startą farbą. To cenna pamiątka Pani Bożeny Wrońskiej po śp. Ojcu, Janie Kołcz, który przez jakiś czas był pracownikiem Spółdzielni Przemysłu Ludowego i Artystycznego w Giebułtowie. Bardzo dziękujemy za jej udostępnienie. Czy to jedyna ocalała pamiątka po giebułtowskiej „fabryczce zabawek”? Jeśli tak, to tym większa jest jej wartość.

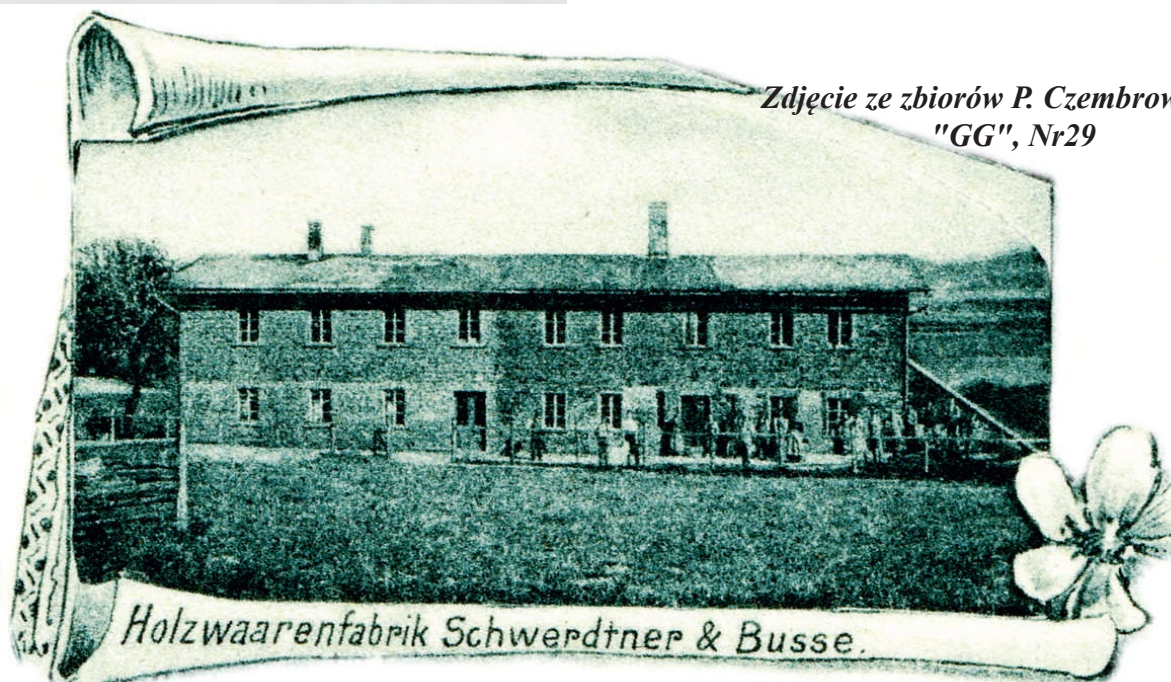
Blok nr 18 jest od prawie 60 lat domem miesz-



kalnym, żartobliwie nazywanym przez mieszkańców Giebułtowa „Pekinem”. Skąd się wzięło to określenie – nie wiadomo. Pierwsza rodzina, państwo Franciszka i Michał Lisowie zamieszkali tu w 1961 r., a klucze wręczono im uroczyście w Święto Odrodzenia Polski, obchodzone 22 lipca. Po nich wprowadziły się zaraz kolejne rodziny. W bloku jest 12 mieszkań, w tym jednopokojowe, dwupokojowe i trzypokojowe. Kiedyś blok tętnił życiem, mieszkańców było 47, były to głównie młode rodziny. Dziś blok zamieszkuje 22 osoby. Zanim budynek przeznaczono na cele mieszkalne, dobudowano w nim piętro. Do dyspozycji mieszkańców jest pralnia, użytkowane są też poniemieckie garaże. Pobliski potok, dużo zieleni, piękne widoki to niewątpliwe walory tego miejsca, w którym żyły i żyją kolejne pokolenia polskich rodzin.

Fabryka zabawek Holzwarenfabrik Schwerdtner & Busse oraz firma Opitz & Sohn nie były jedynymi producentami zabawek oraz drewnianych przedmiotów dekoracyjnych i pamiątkarskich w przedwojennym Giebułtowie. Przez pewien czas równocześnie z firmą Opitz & Sohn pełną parą pracowała również tokarnia Anny Schwedler. Ale o niej w przyszłym numerze.

(daal)



Zdjęcie ze zbiorów P. Czembrowskiego
"GG", Nr29

Holzwarenfabrik Schwerdtner & Busse.

Spółdzielnia Przemysłu Ludowego i Artystycznego w Giebułtowie

Wszystkim znany jest trzypiętrowy budynek obok drogi głównej i skrzyżowania drogi w kierunku dawnej kaflarni i zakładu nr 1 Giebułtowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego, usytuowany poniżej szosy i blisko rzeki, utworzonej z potoku Łużyca i Czerniawka. Solidna elewacja nie przyjmuje stosowanych farb, które odpadają, tworząc na ścianach mozaikę zielonych plam w kilku odcieniach... Cofnijmy się jednak w czasie o 64 lata. Mamy rok 1956. W tych latach fabryka zabawek – pod taką nazwą budynek ten był wtedy znany – jak i wszystkie zakłady w Giebułtowie i nie tylko pracowały na pełnych obrotach.

Do fabryki przyjąłem się w październiku 1956 roku i pracowałem do czerwca 1957 roku. Przyczyną było to, że z zatrudnieniem w tym czasie nie było zadowalająco, a mnie do pracy w tym zakładzie popchnęła nie tylko konieczność zarobku, ale także ciekawość, co i jak się tam wytwarza. W okresie mojej pracy wytwarzało się samochody pogotowia technicznego, wózki dziecięce dla lalek oraz jajka, składające się z sześciu sztuk, zamykane w sobie od najmniejszego do największego. Materiałem do produkcji było wyłącznie drewno: bukowe, dębowe, olcha i w mniejszej ilości świerk. Elementy takie jak kółka do samochodów, do wózków dla lalek oraz jajka wytwarzano na tokarkach ręcznie, co wymagało niebywałej wprawy i precyzji. Musiała być zachowana odpowiednia wielkość. Drewniany klocek szpanowano w uchwytach i po włączeniu napędu uzyskiwał on bardzo wysokie obroty. Tokarz opierał dłuto, zwane powszechnie przez nich holajzą o stalową podpórkę i ostrzem dotykał drewna, które zaczynało zmieniać kształt. Praca była niebezpieczna, bo drewniany klocek gdyby wyrwał się z uchwytów, stanowił zagrożenie dla zdrowia i życia. Był wypadek przy pile tarczowej, że w czasie cięcia z deski wyrwał się sęk i przeciął pilarzowi grdykę. Człowiek zmarł w drodze do szpitala. Dlatego przestrzegano, aby przy pracy na pile nie stać na wprost tarczy. Tarcza musiała posiadać osłonę, a nogami należało stać na twardym podłożu, wolnym od jakichkolwiek odpadów lub zanieczyszczeń, mogących spowodować zachwianie równowagi lub poślizg nóg pilarza. Obok tokarni był dział przygotowawczy. Tu za pomocą odpowiednich szablonów wycinało się elementy zabawek i w odpowiednio wymierzonych miejscach nawiercano, to znaczy tylko na wymaganą głębokość, inne przewiercano na wylot. Po takiej obróbce półfabrykaty dawano na szli-

fiernię do obróbki wstępnej, po której dawano je na halę montażu. W krótkim czasie z lakierni zostałem przeniesiony na montaż. Tu było dużo lepiej pracować. Na lakierni było zimno i każdy pracował ciepło ubrany. Odzieży roboczej i ocieplanej nie dawano. Pędzelki do malowania każdy musiał mieć swoje. Nie było ogrzewania, bo powodowałoby ono zwiększenie oparów farb i lakierów w powietrzu, co stanowiłoby zagrożenie wybuchu. Żadnego ognia lub papierosa. Zapach rozpuszczalnika nitro czuło się w odległości kilkudziesięciu metrów od fabryki. Rozpuszczalnik z magazynu przynosiło się w wiadrach i stawiano w pomieszczeniu osobnym, gdzie pracowało dwoje ludzi. Pani P*., była w średnim wieku, miła i przyjazna. Nie lubiła przebierać w słowach i wiele spraw wyrażała dosadnie i po imieniu. Drugą osobą był Tadeusz D*., może był starszy ode mnie, a może tylko lepiej zbudowany, miły i koleżeński, tak że wkrótce zaprzyjaźniliśmy się. Ci pracownicy mieli pracę poważnie zagrażającą zdrowiu. W pomieszczeniu tym dokonywało się lakierowanie gotowych wyrobów. W wiadrze z rozpuszczalnikiem leżały dwa duże pistolety malarskie. Gotowe samochody i wózki dla lalek były montowane na montażowni. Mimo że były dokładnie szlifowane, na powierzchni drewna tworzyły się maleńkie włoski i pyłki, bardzo dobrze widoczne po pokryciu lakierem i wyczuwalne przy dotyku. Dlatego wszystkie gotowe wyroby poddawano gruntowaniu, to znaczy, że za pomocą pistoletu pokrywano je rzadkim lakierem i pozostawiano do wyschnięcia. Następnie przecierano je drobnym zużytym papierem ściernym, przedmuchiwano i lakierowano ponownie, a wtedy pod bezbarwną szklistą powłoką ukazywała się piękna faktura naturalnego drewna, a pomalowane części nabierały blasku. W pomieszczeniu powietrze było przesycone mglistą zawiesiną lakieru, a dodatkowo było ciągle parowanie rozpusz-





czalnika z wiadra, gdzie moczyły się pistolety. W celu ochrony zdrowia otrzymywaliśmy mleko, ale Tadek miał twarz i usta w odcieniu fioletu, co świadczyło o znacznym stężeniu nitronu we krwi. Któregoś razu zaprosił mnie do domu po pracy. Mieszkał z bratem i bratową w małym domku za potokiem obok szosy biegnącej w górę. Mówił, że marzy mu się mały własny domek, który chce zbudować, miał nawet zrobiony rysunek. Mówił o tanich wykonanych przez siebie materiałach, bo w latach 50-tych o te rzeczy było bardzo ciężko. Wreszcie powiedział, że interesuje go modelarstwo i pokazał mi wykonany przez siebie model statku pasażerskiego z drewna olchowego. Byłem wprost oczarowany. Model był w tzw. stanie surowym, wymagał dalszej obróbki, ale co za kunszt, jaka precyzja! A ja w tym czasie w domu budowałem model jachtu żaglowego, a więc mamy te same zainteresowania! I teraz w fabryce zabawek łatwiej o jakieś drewno, gwoździe czy farbę, bo w sklepie nie kupisz... Powiedział mi też, jak budować kadłub metodą warstwową. A więc ściąć gdzieś odpowiedniej grubości lipę, odciąć potrzebną długość pnia i położyć na strychu bez korowania – niech schnie przez dwa lata – pociąć w tartaku na deski i materiał gotowy. Tadek w modelarstwie był poważnie zaangażowany. Teraz, gdy po czterdziestu latach zamieszkałem w Giebułtowie, nie widzę nigdzie znajomych współpracowników z mojej pierwszej pracy i nie wiem nic o Tadku D*.

Gdy na lakierni nabrałem wprawy w malowaniu kółek do samochodów, co wcale nie było łatwe, bo środek kółka był wypukły, a pomiędzy środkiem-felgą był rowek i zaczynała się wypukła opona, na którą nie mogła przedostać się farba. Środek miał być dokładnie pomalowany na czerwono do rowka. Farbę należało dobrać tak, żeby nie zaciekała i żeby dobrze kryła. Musiał być też dobrany odpowiedni pędzelek. Gdy już to wszystko wiedziałem i umiałem, przeniesiono mnie do montażowni. Było tu dużo lepiej, bo było ciepło. Na środku hali stał piec wykonany z żelaznej beczki, w którym palono różnymi odpadami z drewna, ale nie dlatego, żeby ludziom było ciepło, lecz dlatego, że na montażowni pracowano klejem

stolarskim, który w niskiej temperaturze gęstniał, tworząc galaretę i nie trzymał się drewna. Elementy przyniesione do klejenia często ogrzewano przy piecu, żeby klej dobrze łąpał. Na montażu pracowało 9 osób. Każdy pracownik zasiadał przy warsztacie z grubych desek, gdzie na środku było wgłębienie na kuchenkę elektryczną, na której stało naczynie z wodą, która gotując się podgrzewała drugie naczynie, w którym rozpuszczano klej. Klej nie mógł się zagotować i nie mógł wystygnać. Gęstość kleju sprawdzało się w ten sposób, że zanurzało się w nim pędzel i patrzono, jak ścieka. Ściekać powinien wąską stróżką, bez tworzenia się kropek, wtedy był dobry. Klej nie mógł pozostawać, a gdy wychodził na zewnątrz w czasie klejenia, musiał być dokładnie usunięty, nie zosta-



wiając śladu na drewnie. Sklejone elementy zanoszono piętro wyżej do szlifierni, gdzie poddawane były obróbce na tarczach szlifierskich. Ponownie trafiały stamtąd na montażownię i lakiernię, skąd wychodziły już piękne gotowe wyroby. Ale to jeszcze nie koniec. Wyprodukowane samochody pogotowia technicznego i wózki dla lalek dostawały się w ręce brakarza. Ten pan to pracownik, którego zadaniem było gołymi rękami psuć i łamać. Najczęściej w jego rękach łamały się osie od kół, podstawki dźwigów przy samochodach oraz kijki i rączki przy wózkach. A więc znów dawano je na montaż do naprawy, a potem do magazynu do pakowania i wysyłki. Na górze nad szlifiernią znajdował się dział artystyczny. Pracowali tam pan M* i pani K*, oboje z Wrocławia. Wytoczone na tokarni poszpachlowane i wypolerowane jajka poddawane były tu malowaniu w przepiękne wzory. Były na nich piękne ptaki i zwierzęta oraz krajobrazy wykonane z subtelnym artyzmem. Przestrzegano tu wielkiej czystości powietrza, żeby żaden pyłek

nie osiadł na jajku. Pomalowane przez artystów były lakierowane, po czym wyglądały jak z porcelany, w różnych kolorach i odcieniach. W latach 50-tych od Giebułtowskiego Potoku do fabryki przebiegał kanał, którego woda przy dużym spadku poruszała turbinę. Służyła ona dawniej do napędu różnych urządzeń produkcyjnych, ale w czasie, gdy pracowałem, służyła do obracania bębna szlifiernego. Była to duża sześciokątna skrzynia drewniana z drzwiczkami, do której wrzucało się różne drobne elementy, których nie było możliwe oszlifować na tarczach. Były to okrągłe kijki do wózków, ośki do samochodów oraz inne drobne części. Wrzucano je do bębna wraz z kawałkami papieru ściernego, zamykano i wszystko

gruchotało w obracającym się bębnie, a po kilku godzinach było gładkie i wypolerowane.

Nie wiem, czy wszystko dobrze opisałem, ale upłynęły przecież dziesiątki lat. Nie pisałem niektórych nazwisk, bo nie pamiętam imion. Obecnie fabryka spełnia rolę dobrze zagospodarowanego bloku mieszkalnego. Rozmawiałem z jedną panią, która tu mieszka. Powiedziała mi, że od pewnej Niemki dowiedziała się, że w czasie wojny wyrabiano tu trzonki do granatów.

Tekst i zdjęcia Ryszard Skórka

*Podaliśmy tylko pierwszą literę nazwiska

Szkoły dawnego Giebułtowa – małe uzupełnienie

W ostatnim numerze „GG” pisaliśmy o szkołach dawnego Giebułtowa. Artykuł ten wywołał spore zainteresowanie Czytelników, którzy po ukazaniu się numeru pytali o szczegóły z nimi związane. Spróbujemy zatem jeszcze raz przybliżyć i uzupełnić niektóre informacje.

Zadziwiający jest fakt, że na przestrzeni wieków w naszej miejscowości było aż sześć budynków szkolnych. Pisaliśmy co prawda o pięciu, zapominając doliczyć szósty budynek współczesnej szkoły, zwłaszcza, że nie opublikowaliśmy jej zdjęcia. Powtórzmy zatem, że były to w kolejności powstawania takie budynki szkolne jak: stary dom kantora (czyli dom komunalny przy samym kościele), kilkaset metrów po tej samej stronie rozebrana „szkoła Pätzolda”, szkoła na Giebułtówku

jącą jej lokalizację – uzmysłowić sobie, gdzie ona się dokładnie znajdowała. Prezentujemy zatem zdjęcie, które może to znacznie ułatwić. Jest na nim przedstawiony pan Czesław Sikora na motocyklu w samym centrum Giebułtowa. Udostępniła nam je jego córka, pani Zofia, za co bardzo dziękujemy. Zdjęcie jest zrobione w latach 50-tych ubiegłego wieku. Po lewej stronie widzimy róg sklepu spożywczego pani Zofii Lipki, po prawej zaś krzyż, do którego prowadzą schody, a na prawo od nich



przy firmie „Awex”, szkoła z zegarem na Augustowie, zwanym dawniej Augusthal, szkoła nazywana „nowym domem kantora”, czyli dawny żłobek, oraz funkcjonujący do dzisiaj budynek Szkoły Podstawowej.

Wiele informacji było faktycznie dla Czytelników zupełnie nowych, częściowo przyjętych z niedowierzaniem, jak na przykład ta, że z krajobrazu naszej miejscowości zniknęła „szkoła Pätzolda”. Niektórzy nie mogli – mimo prezentowanego zdjęcia ze strzałką, zaznacza-



Schule Neu-Gebhardsdorf um 1900 (c) Beckert



Konfirmation 1907 (c) Beckert

plebanii, bo trudno było wtedy o miejsce do tego bardziej nadające się. Na koniec przedstawiamy zdję-



cie współczesnej szkoły, do której uczęszczało wielu z nas. I życzymy jej, aby dzielnie przetrwała trudne – nieznane we wcześniejszych wiekach – czasy braku uczniów.

widać fragment rozebranej i wywiezionej z Giebułtowa szkoły. Widać, że jej stan jest już znacznie gorszy niż na prezentowanej pocztówce. Pocztówka potwierdza tylko, jak piękny był to budynek i jak malowniczo wpisywał się w krajobraz Giebułtowa. Warto jeszcze wspomnieć o krzyżu, który stanął (w miejscu pomnika poległych z 1866/1870/1871 r.) już za naszych czasów. To tam widniała na tabliczce pierwsza powojenna nazwa Giebułtowa „Międzylesie”. Zdjęcie to ma zatem wyjątkową wartość, żadnego innego z tego miejsca bowiem nie znamy. Miejsce to jest obecnie w granicach prywatnej posesji, ze znanym nam, opisywanym w jednym z pierwszych numerów „GG”, pięknym ogrodem. Warto dodać, że choć kantor Pätzold zmarł 3.02.1822 r., to szkoła nadal była nazywana jego nazwiskiem. Pod taką nazwą jest jeszcze w pamięci żyjących niemieckich mieszkańców Giebułtowa. Kantor Pätzold był dla Giebułtowa bardzo zasłużoną osobistością.

Spore zainteresowanie wywołała też szkoła najstarsza, zbudowana w 1632 r. Mieszkaniec tego budynku wskazał nam widniejący na portalu zachowany numer domu. To rewelacyjne odkrycie! Jak się okazuje był to dom nr 6, a dokładna wyryta w piaskowcu treść to: „№ 06”. Z nowo dostępnego materiału historycznego z 1854 r. wiemy, że budynek ten był już w 1699 r., czyli zaledwie po 67 latach istnienia, znacząco przebudowany. Szkoła ta prawdopodobnie w XIX w. funkcjonowała razem ze „szkołą Pätzolda”, bo jeden budynek był dla dużej ilości uczniów niewystarczający. Prezentujemy zdjęcie przedstawiające uczennice tej szkoły na słynnych już schodach znajdującej się po sąsiedzku



Życia Parafii i parafian

Małe, a cieszy

Pewnie już wszyscy parafianie zauważyli nowo powstałe kamienne schodki na terenie kościoła, a nawet może z nich skorzystali. Dzięki sprzyjającej, właściwie wiosennej pogodzie, prace przy ich wykonaniu były możliwe w styczniu, zaraz po Świętach Bożego Narodzenia. Schodki zostały ułożone "na suchą". Są ułatwieniem na trasie dojścia z tyłu kościoła przez skarpę do parkingu i z powrotem. Pewnie będą też ozdobą i urozmaicheniem terenu, który pięknieje z każdym rokiem.



Orszak Trzech Króli

W tym roku odbył się on w naszej miejscowości po raz piąty. Byliśmy oficjalnie zgłoszeni w Fundacji OTK w Warszawie jako jedna z 872 miejscowości w kraju. Zgłoszenie daje nie tylko korzyści w postaci bezpłatnego ubezpieczenia OC, ale także gwarantuje otrzymanie koron, śpiewników, nalepek i wypożyczonych na czas nieograniczony sztandarów. To także prestiż i reklama. „Gość Niedzielny” z 5 stycznia br. w tekście pt. „Cuda, cuda ogłaszają!” wymienia wszystkie miejscowości z diecezji legnickiej, biorące udział w OTK 2020. A były to: Bogatynia, Bolesławiec, Chobień, Chocianów, Chojnów, Giebułtów, Jawor, Jelenia Góra, Jeżów Sudecki, Karpacz, Legnica, Legnickie Pole, Lubań, Lubawka, Lubin, Lwówek Śląski, Męcinka, Nowogrodziec, Olaszyna, Osiecznica, Pieńsk, Polkowice, Prochowice, Rzęsiny, Świeradów-Zdrój i Wojcieszków.

Skorzystaliśmy także z nadesłanego przez OTK scenariusza, przerabiając go na nasze potrzeby, co głównie polegało na skracaniu. Z powodu braku młodych ludzi ograniczyliśmy się do jednej scenki: „Herodi i Anioł”, którą zagrali Kamila Grotnik i Damian Łojko na scenie u Ks. Proboszcza. Może w przyszłym

roku uda się wciągnąć starszych? Orszak kroczył w tym roku od kościoła do szkoły trochę przedłużoną trasą. Dłuższy postój był zaplanowany na scenie przy plebanii, gdzie kolędownali „Kwisowianie”. Scena pokłonu Trzech Króli odbyła się także na terenie plebanii przy Krzyżu, gdzie była ustawiona szopka. W tym roku zaobserwowano znacznie większą liczbę uczestników w stosunku do ubiegłego roku. W przyszłym roku postaramy się także o lekkie wydłużenie trasy orszaku. Będzie to możliwe przy użyciu gotowych nagrań kolęd, oszczędzając siły „Kwisowian”, zwłaszcza kapeli. No i musimy poćwiczyć kroki poloneza. Scenariusz przewidywał wejście polonezowym krokiem na dziedziniec szkoły w rytm kolędy „Bóg się rodzi”. Mimo zachęty i instruktażu Księdza Proboszcza trochę te kroki pogubiliśmy. Najważniejsze, że wiemy, co można poprawić. Dziękujemy Trzem Królom, w których role wcielili się panowie: Romuald Ledzion, Zygmunt Markowski i Michał Spierzak. Dziękujemy Kamili i Damianowi oraz OSP Giebułtów za czuwanie nad bezpieczeństwem Orszaku i ruchu drogowego. Zdj. nr 4,6,7,8 na str. 16 wykonała Magdalena Goworko.

Msza św. w intencji pszczelarzy

Miejsko-Gminne Koło Pszczelarzy w Mirsku co roku w innej miejscowości Gminy Mirsk zamawia Mszę św. w intencji swoich członków, także zmarłych. Wśród nich są również mieszkańcy Giebułtowa. Co kilka lat Msza św. odprowadzana jest w Giebułtowie. W tym roku była to niedziela 5 stycznia. Pszczelarze tradycyjnie składają dary, do których oczywiście należy m.in. miód. Uroczystości również



fot. Kamila Grotnik

w tym roku towarzyszył obraz Najświętszej Maryi Panny z pszczołami. Patronem pszczelarzy jest św. Ambroży z Mediolanu, biskup i doktor Kościoła.

Ambitna Parafianka

Właściwie ten krótki artykuł o pani Kamili Grotnik mógłby się znaleźć w rubryce „Kreatywnie i aktywnie”, której w tym numerze zabrakło. Piszemy w niej zazwyczaj o ciekawych twórczych działaniach i postawach różnych osób w różnych dziedzinach życia. O sferze rozwoju duchowego jeszcze nie było. A jest ona równie ważna jak inne, żeby nie stwierdzić, że ... najważniejsza.



Pani Kamila od dawna bardzo chciała zostać lektorem. Ks. Proboszcz W. Macha widział ją raczej jako ministrantkę. Kamila ministrantką zostać nie chciała, bo... chciała zostać lektorem. W 2016 r., gdy proboszczem został ks. K. Lewicki, postanowiła jeszcze raz spróbować „wkręcić się” do służby ołtarza. Coraz częściej zastępowała ministrantów, czytając Słowo Boże podczas Mszy św. Powoli przyzwyczajala do tego parafian. Docenili oni szybko jej umiejętność dobrego czytania, wcale nie tak oczywistą w dzisiejszych czasach. Właściwa artykulacja, dobry akcent wyrazowy i zdaniowy, a nade wszystko rozumienie czytanego Słowa – czego nie da się zafałszować – sprawiły, że lektorem została. Książka z płytą CD, którą Kamila otrzymała swego czasu od redakcji „GG” za rozwiązanie krzyżówki, autorstwa M. Oczkosia pt. „Sztuka mówienia bez bełkotania i fałunienia” okazała się cenną pomocą w ćwiczeniu sztuki głośnego czytania. Przebywający co jakiś czas w Giebułtowie „mistrz słowa” pan Włodzimierz Galicki z Łodzi pytany o jakość posługi Kamili, nie tylko nie miał żadnych zastrzeżeń, ale wyrażał się o niej z dużym uznaniem. Wydawało się, że marzenie się spełniło.

Pani Kamila postawiła sobie poprzeczkę jednak znacznie wyżej, bo chciała ukończyć kurs lektorski. Ponieważ ze względów logistycznych dojazdu do Legnicy były niemożliwe, kurs zorganizował Kamili indywidualnie ks. Proboszcz K. Lewicki. Przy licznych obowiązkach było to bardzo trudne. Upór opłacił się jednak. Ksiądz Proboszcz poświęcił czas codziennie po Mszy św. przez 6 tygodni w listopadzie i grudniu na indywidualne wykłady, rozmowy i warsztaty, za co Kamila jest bezmiernie wdzięcz-

na. Na zakończenie Kamila otrzymała legitymację potwierdzającą ukończenie kursu oraz krzyż lektorski. Nabyta przez nią wiedza miała zostać jeszcze zweryfikowana na spotkaniu w Jeleniej Górze przez biskupa. Tam podczas rozmów kwalifikacyjnych Kamila zwróciła uwagę Biskupa Z. Kiernikowskiego na swoją wiedzę i umiejętności oraz na wkład pracy Ks. Krzysztofa. Biskup poświęcił krzyż lektorski, Kamila otrzymała także nagrodę książkową. Nie był to jeszcze koniec lektorskiej wspinaczki. Jej finał odbył się na zjeździe w Szczecinie w dniach 2-4 stycznia 2020 r. w parafii p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa. W jego programie były m.in. rekolekcje dla lektorów oraz dalsza weryfikacja wielotygodniowego przygotowania. W konkursie na umiejętność pracy z lekcjonarzem pani Kamila zajęła I miejsce. Tu także jej dojrzałość duchowa, wiedza i postawa nie miały sobie równych, a przewaga wynikała z nabytego przez lata doświadczenia i niezwyklej wewnętrznej motywacji. Otrzymała pisemną, jak najbardziej pozytywną opinię, wystawioną przez tamtejszego proboszcza ks. Jarosława Staszewskiego. W piśmie skierowanym do księdza proboszcza znalazły się także szczególne podziękowania dla Ks. Proboszcza Krzysztofa Lewickiego za przygotowanie Kamili do posługi lektorskiej oraz życzenia noworoczne.



Scena z Orszaku Trzech Króli

Biorąc pod uwagę nabyte uprawnienia pani Kamili oraz jej ponadprzeciętne zaangażowanie w życie naszej parafii można tylko wyrazić radość i dumę, że jest ona członkiem naszej wspólnoty parafialnej. I życzyć, aby tak samo ziściły się jej inne marzenia i plany.

(daal)

Projekt polsko-niemiecki w Giebułtowie

17 grudnia 2019 r. komisja Euroregionu „Nysa” zatwierdziła na posiedzeniu w Zgorzelcu projekt polsko-niemiecki, który będzie realizowany w Giebułtowie od 1 stycznia do 31 grudnia 2020 r. Dotyczyć on będzie domu nr 134, znajdującego się przy samym kościele. Dom ten, mający dawniej nr 3, znany był przez kilkaset lat jako Dom Tetzela (niem. Tetzehaus). To w nim miał w roku 1508/1509 zatrzymać się słynny dominikanin Johann Tetzel, który część ofiar za udzielone odpusty przeznaczył na odbudowę spalonej przez husytów kaplicy, dając w ten sposób początek naszemu dzisiejszemu kościołowi. Dom ten po wojnie należał przez 70 lat do rodziny Anny i Władysława Wilk, a od grudnia 2016 r. do niżej podpisanych. Jest domem przysługowym. Po remoncie dachu i naprawieniu murów oporowych powstało pytanie, od czego zacząć kolejny, tak naprawdę właściwy etap remontu. Najważniejsze, czego brakowało, to fachowa porada.



Das Tetzehaus.

Pewnego sierpniowego dnia ubiegłego roku Giebułtów odwiedza pan Jürgen Cieslak z żoną przy okazji pobytu na kuracji w Czerniawie-Zdroju. Pan Cieslak (ur. 1942) jest emerytowanym zdunem i inżynierem technik grzewczych, absolwentem Uniwersytetu Technicznego w Dreźnie. Prowadził odziedziczoną po dziadku i ojcu firmę zduńską, wybudował setki pieców kaflowych. Obecnie wykorzystuje swoją rozległą wiedzę i doświadczenie jako rzeczoznawca. Jest przy tym pasjonatem domów przysługowych, jednym z założycieli stowarzyszenia zajmującego się architekturą wiejską o nazwie Sächsischer Verein für Volksbauweise. To jego pasja i miłość od ponad 45 lat. Ratował domy przysługowe przed rozbiórką i unicestwieniem jeszcze w czasach NRD. Za swoje starania został doceniony i uhonorowany przez premiera Saksonii (2014). W jego rodzinnej miejscowości, w której nadal mieszka, w Seifhennersdorf, znajduje się jedno z jego „dzieci”. To pokazowy dom przysługowy, w którym mieści się siedziba stowarzyszenia „Weisseweg 23”, którego jest założycielem i prezesem. Stowarzyszenie to popularyzuje budow-

nictwo przysługowe, nie tylko w Dzień Otwartych Domów Przysługowych. Pasję pana Jürgen Cieslaka podziela także żona Irmgard i córki Friederike i Katharina, wszystkie trzy panie są architektkami.

Pan Jürgen lubi fotografować domy przysługowe, tworząc rodzaj dokumentacji. Te materiały przydają się do licznych artykułów i publikacji, których jest autorem czy współautorem. „Dom Tetzela”, tak jak i inne domy przysługowe w Giebułtowie, sfotografował już wiele lat temu. Teraz, widząc ślady remontu, chce skontaktować się z właścicielami, co umożliwiają mu mili młodzi sąsiedzi z domu naprzeciwko (z dawnego "domu kantora").

Wydaje się, że bardziej odpowiednia osoba nie mogła się trafić. Nie jest jednak tak, że pan Cieslak ma gotowy plan na to, jak pomóc. Po kilku tygodniach rozsyłania do znajomych maili, zdjęć i własnych przemyśleń pada propozycja napisania wniosku do Euroregionu „Nysa” o dofinansowanie badań nad architekturą domu. Bo jedna z najważniejszych kwestii to określenie wieku domu i historia jego rozbudowy. Określić to można na podstawie badań dendrochronologicznych. Nie należą one do tanich. Można byłoby je sfinansować z projektu. W projekcie partnerami nie mogą być jednak osoby prywatne.



I na to pan Cieslak znajduje sposób. Pozyskuje przychyłność stowarzyszenia z Seifhennersdorf Sächsische Bildungs-und Begegnungsstätte Windmühle Seifhennersdorf e.V., które zgadza się być partnerem wiodącym. Po stronie polskiej gotowym wyciągnąć rękę do współpracy jest stowarzyszenie Dom Kołodzieja ze Zgorzelca. Jego wiceprezesem jest pani Elżbieta Lech-Gotthardt, która zaślęła jakiś czas temu z przeniesienia przeznaczonego do rozbioru domu przysłupowego z Wigancic do Zgorzelca, za co otrzymała Nagrodę B. Remmersa (2012) jako druga laureatka w Polsce (po Zamku w Malborku) za wzorcowo odrestaurowany (i uratowany) zabytek. O tym niezwykłym przedsięwzięciu szeroko informowały media, pewnie i my jeszcze kiedyś będziemy mieli możliwość więcej napisać o dokonaniach pani Elżbiety.

Teraz żeby wypełnić kilkanaście stron wniosku projektowego pan Cieslak, który nigdy się tym sam nie zajmował, musi przestudiować ok. 150 stron instrukcji, wykonać masę telefonów i przejechać dziesiątki kilometrów. Na szczęście pracownicy Euroregionu w Zittau, a także córka Katharina, oraz znajomi i przyjaciele służą pomocą. Zaplanować trzeba wszystkie działania i obliczyć szczegółowo koszty. Inaczej otrzymanie środków będzie niemożliwe. A przewidziane działania to m.in. tygodniowe warsztaty dla studentów architektury. Ich zadaniem będzie m.in. wykonanie szczegółowych pomiarów i inwentaryzacji domu. Ideą Euroregionu jest współpraca przygraniczna, czyli Polacy i Niemcy muszą mieć możliwość spotkania, wymiany doświadczeń itd. Pada więc ze strony Euroregionu propozycja zorganizowania polsko-niemieckiej konferencji z udziałem badaczy, ale także mieszkańców Giebułtowa. Miejscem byłby oczywiście Giebułtów – bo tu się przecież wszystko będzie toczyło. Ideą współpracy jest także edukacja. Opracowanie i opublikowanie zatem dwujęzycznej broszury z wynikami badań będzie kończyło trwającą przez rok współpracę przy projekcie, którego tytuł w wersji polskiej brzmi: „*Dom Tetzela w Giebułtowie-utworzenie polsko niemieckiego miejsca spotkań w historycznym domu przysłupowym*”. Przyznana kwota dofinansowania na wyżej opisane działania to: 17.557,08 Euro, koszt całkowity wynosi 20.655,39 Euro. Finanse będą pochodzić z tzw. Funduszu Małych Projektów INTERREG Polska-Saksonia 2014-2020.

25 stycznia br. zrealizowany został pierwszy krok z projektowych działań. Została mianowicie pobrana pierwsza część próbek drewna z konstrukcji domu do badań dendrochronologicznych. Według powierzchownej oceny fachowców jest jednak mało prawdopodobne, aby dom pochodził z okresu mieszkania w nim Johanna Tetzela. O wynikach będziemy

mogli poinformować Czytelników już w następnym numerze „GG”. Będziemy oczywiście informować o wszystkich innych działaniach, wychodząc z założenia, że są to sprawy, które zainteresują wielu Czytelników.

Jeszcze krótka refleksja: Domy przysłupowe należą do unikatowej architektury wiejskiej, a polsko-czeska-niemiecka Kraina Domów Przysłupowych ma szansę znaleźć się na liście Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Ze strony niemieckiej poczynione zostały w tym kierunku pierwsze kroki. To jednak długi proces. Każdy kolejny uratowany dom przysłupowy na Górnych Łużycach przybliżyć może tę perspektywę. Bez wątpienia są to skarby naszego regionu. Gdyby jednak nie pasjonaci, którzy w tych swoistych świadkach historii dostrzegają piękno i wartość, a nie tylko walące się "stare budy"-jak się je często lekceważąco określa- dawno zniknęłyby bez śladu. O ludziach, którzy się nimi pasjonują, warto kiedyś napisać więcej. I pewnie to zrobimy. To ci, którzy o nie walczą, o nich piszą, o nie - tak jak rodzina Cieslak - zabiegają. To także ci, którzy własnoręcznie uzupełniają ryglowe ściany słomą, trzciną i gliną, i których oczy błyszczą na widok mchu uszczelniającego stare belki i każdego śladu przeszłości.

Jako właściciele domu nr 134 jesteśmy wdzięczni za tę inicjatywę, ale także za wszystkie miłe gesty i słowa wsparcia od mieszkańców Giebułtowa. Wyrażamy przy tym przekonanie, że realizacja projektu przyczyni się do popularyzacji domów przysłupowych i promocji naszej miejscowości, Gminy Mirsk i Pogórza Izerskiego.

Zbyt daleko jest jeszcze do przywrócenia domowi nr 134 takiego wyglądu, jak choćby na zdjęciu z 1904 r. z sąsiedniej strony, aby pisać o planach na jego przyszłe przeznaczenie. Marzeniem nowych właścicieli jest uratowanie cennego zabytku dla rodzinnej miejscowości i wykorzystania go w przyszłości w duchu tej nauki, z jaką Johann Tetzl - Brat Jan - ponad 500 lat temu przybył do Giebułtowa.

D.i A.Alchimowicz



Autorzy tekstu i rodzina Cieslak



5 . O r s z a k T r z e c h K r ó l i

